

Monika Wawrzyńska

JAK ODCHUDZIĆ KOTA?

UWOLNIJ SWOJĄ
TWÓRCZOŚĆ Z
SZUFLADY
Konkurs
Literacki
II NAGRODA



MONIKA WAWRZYŃSKA

**JAK
ODCHUDZIĆ
KOTA?**

Monika Wawrzyńska *Jak odchudzić kota?*

Konkurs literacki UWOLNIJ SWOJĄ TWÓRCZOŚĆ Z SZUFLAY!
II NAGRODA

© Copyright by Monika Wawrzyńska

© Copyright by haveanicEbook.pl

ISBN 978-83-64820-02-1

Redakcja
Katarzyna Kłoś

Korekta
Liliana Skolimowska

Projekt okładki
Tomasz Toruński & haveanicEbook.pl

Skład i łamanie
Katarzyna Kłoś

Wydawca

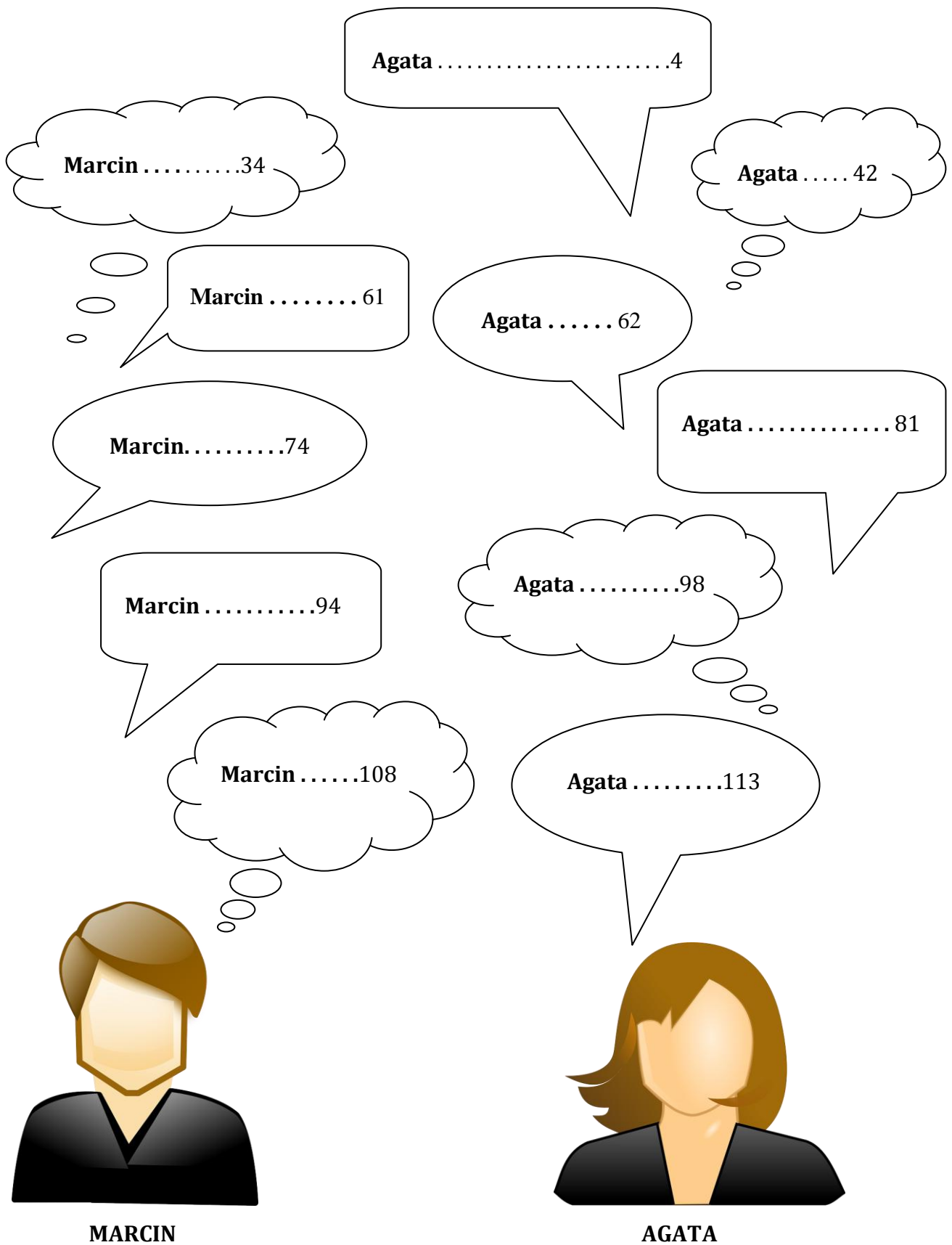
Wydawnictwo Internetowe haveanicEbook.pl
www.haveanicebook.pl
kontakt@haveanicebook.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2014

SPIS TREŚCI



Agata.....4	
Marcin.....34	Agata.....42
Marcin.....61	Agata.....62
Marcin.....74	Agata.....81
Marcin.....94	Agata.....98
Marcin.....108	Agata.....113

MARCIN

AGATA

AGATA

Z ponurą miną przystawiłam sobie krzesło, żeby dostać się na pawlacz, pełniący u mnie funkcję długoterminowego opiekuna rzeczy, których czas jeszcze nie nadszedł. Było to już ostatnie miejsce, w którym mogłam znaleźć piłki do tenisa, potrzebne mi, żeby uprać puchową kurtkę. No właśnie tak – wyczytałam w Internecie, że piłki skaczące po bębnie pralki rozbijają puch (w puch?) kurtki i powodują, że się nie zbryla w jedną mokrą masę pierza. Oczywiście mogłam oddać kurtkę do pralni, co może i byłoby rozwiązaniem bezpieczniejszym – dla kurtki i dla mnie – ale uznałam, że trochę ryzyka w moim nudnym życiu nie zaszkodzi. Chciałabym powiedzieć, że wskoczyłam chyżo na krzesło, ale sfałszowałabym rzeczywistość. Przytrzymałam się ściany i z głośnym stęknieniem wspięłam się i otworzyłam drzwiczki pawlacza. Najpierw wypadła na mnie jakaś reklamówka a zaraz za nią piłka do siatkówki, która odbiła się kilka razy i trafiła w leżącego na dywaniku kota.

– Phyyyy! – skoczył na cztery łapy oburzony, patrząc na mnie z wyraźnym wyrzutem.

– No sorki – sapnęłam, stając na palcach, bo nie mogłam dosięgnąć następnych paczek.

W końcu udało mi się wyciągnąć starą walizkę, plecak na stelażu, niesprawną od dawna farelkę i kozaki, które mnie obcierały, ale dałam za nie trzysta złotych i nie mogłam się ich ot tak pozbyć.

– Jasna cholera – burknęłam do siebie grzebiąc w najdalej upakowanych reklamówkach.

– No! – ucieszyłam się w końcu znajdując siatkę z żółtymi piłeczkami. Rzuciłam ją na ziemię, więc natychmiast rozsypały się po pokoju. Henio podskoczył za jedną, sięgnął do drugiej, uskoczył przed trzecią i w końcu zajął się czwartą. Toczył ją sobie po dywanie, kiedy próbowałam z powrotem upchać wszystko do środka. W końcu domknęłam drzwiczki pawlacza nieco na siłę i powoli zesłam z krzesła. Pozbierałam piłki (zostawiając czwartą Heniowi) i wrzuciłam je do pralki razem z kurtką. Wzruszyłam ramionami i włączyłam start.

– Będę miała najlepiej wyprane piłki tenisowe w całym Legionowie – mruknęłam znowu do siebie i pomaszerowałam do kuchni po małą nagrodę w postaci batonika.

Całe Legionowo, oprócz mnie, szykowało się do Sylwestra. Patrzyłam w okno i pukałam długopisem w zęby. W nastrój wpadłam taki bardziej melancholijny. Szron na szybach, gołębie skrzydłami zabijają mróz, grzebiąc gołymi nóżkami w śniegu... No

bardzo ładnie. Tajemniczo tak. I nie wiadomo, co tam skrzy w oddali: zagubiony Koh-i-noor czy psie siki. W taki wieczór jak dziś... to ho, ho! Kolejny Nowy Rok. Co to będzie w tym roku? Co mnie może czekać? Co tam w gwiazdach zapisane? Podsumujmy stan dzisiejszy:

Praca – dobrze, że jest. Nudna nieco, ale stabilna.

Mężczyzna życia – no niestety... zero.

Złamane serce – jedno.

Leczenie ginekologiczne po zdradach ukochanego mężczyzny – jedno, ale za to długotrwałe.

Kilogramy – osiemdziesiąt dwa (!)

Marzenia – są, jak najbardziej.

Początek Nowego Roku, nadzieja aż bulgocze w kotle. Co się wydarzy? Co się na miły Bóg niestety nie wydarzy? Przestałam pukać w zęby, bo najszybciej mogłaby się wydarzyć wizyta u dentysty. Podparłam za to głowę dłonią i wpatrzyłam się mało widzącym wzrokiem w widok za oknem.

* * *

Rano znowu się wpatrywałam, tym razem w lustro ze zrezygnowaniem. Niewiele pomogła nowa kredka do oczu, która miała *okalać oko błyszczącą poświatą*. Może i okalała, ale efekt końcowy daleki był od moich wyobrażeń. Najbardziej rzucał się w oczy korektor, który miał maskować. Lepszy efekt osiągnęłabym chyba przykrywając się siatką maskującą. Oderwałam wzrok od lustra i skierowałam go na rajstopy. Rajstopy jak rajstopy. Przynajmniej nie miały oczek do okalania poświatą. Oczywiście wiedziałam, że bardziej seksowne są pończochy, ale noszenie pończoch przeszło mi jak ręką odjął, jak kiedyś musiałam spędzić w nich cały dzień. Chciałam potem amputować sobie dolne kończyny otarte do kości na wysokości, hmmm, jakby to ująć zgrabnie – wysokiego uda. Nie mogłam ich łączyć przez następny tydzień, co nijak nie wpłynęło na moje powodzenie – dodajmy z reporterskiego obowiązku.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie w lustro, westchnęłam nieco smętnie i udałam się do Firmy. Firma, dzięki której mogłam sobie między innymi kupować takie rzeczy, jak świetliste kredki, była typową korporacją. Z durnymi przepisami, kodem ubraniowym, zasadami dotyczącymi picia kawy, zakazami, nakazami, przekazami i pozami. Słowem,

z całym dobrodziejstwem inwentarza. I tak, musiałam np. chodzić do pracy w spódnicy i w rajstopach. Buty tylko *przykrywające piętę* (gdyż nieprzykrywające pięty mogłyby znacząco wpływać na jakość mojej pracy). Paznokcie w *neutralnym* kolorze. Włosy *spięte*. Ja zwykle bywałam bardziej spięta niż moje włosy. Nie było za to jakiś specjalnych wytycznych co do bielizny, choć *nie mogła się ukazywać znienacka*. I kto niby miałby na mnie patrzeć w pracy?! W sensie jak na kobietę, bo jak na pracownika, to sobie tam może i patrzyli. Szef na przykład patrzył. Na co on tam zresztą mógł patrzeć! Byłam najgrubsza ze wszystkich dziewczyn, które pracowały w naszym dziale. Co prawda on też był gruby, ba! On był strasznie gruby. No, ale ja niestety też.

Do biura dojechałam, jak zawsze, po mniej więcej godzinnej walce z korkami, usiadłam przy moim biurku i włączyłam komputer. Jak wiadomo, w każdej korporacji pracuje jakiś nawiedzony administrator sieci, który wie wszystko. Kiedy włączyłaś komputer, kiedy go wyłączyłaś, po jakich stronach łączyłaś w Internecie, co prywatnego wysyłałaś ze służbowej poczty i z kim flirtujesz. Więc ja nie miałam żadnych prywatnych spraw. Biała kartka. Zero flirtów (no bo z kim?), zero prywatnego Internetu, blogów, magii Onet.pl, gadu gadu i takich tam innych... To wszystko się odpalałam wieczorem w domu. Na *prajwie*. Wtedy nie musiałam już mieć krytej pięty, a nawet o zgrozo! Bywały wieczory, kiedy byłam bez rajstop. I moja wydajność nie malała. No, ale może jakość nieco. Zwłaszcza po drugim Martini. Zalogowałam się zerkając na kartkę z hasłem. Hasła do komputerów zmienialiśmy równo co 30 dni i już mi się inwencja kończyła. Hasło oczywiście musiało mieć co najmniej dziewięć znaków, duże i małe litery i co najmniej cztery cyfry. Myślałby kto, że pracujemy w Forcie Knox. Ale nie, wpisywałam tylko jakieś głupie dane do jakichś głupich tabelki. A potem musiałam sprawdzić czy te dane krzyżowo się zgadzają. A potem jeszcze musiałam tylko uzgodnić z prawnikiem, jakie dokumenty trzeba przygotować na podstawie tych moich tabelki. No i od początku. Tabelki, krzyżak, prawnik, tabelki, krzyżak, prawnik. *Neutralny* lakier paznokci motywował mnie do lepszej pracy.

– Pani Agato! – zawołał mnie Szef, zwany dowcipnie Baterflajem ze względu na swoją wagę super ciężką.

Zdjęłam okulary, które od niedawna musiałam nosić w pracy, ze względu na dziwną przypadłość. Okazało się bowiem, że mam za krótkie ręce, żeby jednocześnie pisać na

klawiaturze i czytać na ekranie. Złapałam się na tym, że najpierw pisałam, a potem odjeżdżałam na krzesło jakieś pół metra, żeby zobaczyć, co wklepałam. Kiedy okazało się, że w służbowej wykładzinie wyjeżdżałam bruzdy kółkami od krzesła, BATERFLAJ delikatnie zasugerował, że może zakup okularów rozwiązałby ten problem (a przy okazji uchronił służbowe mienie przed dalszą dewastacją). Wysłuchałam zatem informacji, że Firma zwróci mi za okulary i chcąc nie chcąc dokonałam tego, w zasadzie niepotrzebnego mi, zakupu. A teraz czego znowu on może chcieć?

– Pani Agato – zaczął BATERFLAJ – Wie pani, że jestem bardzo zadowolony z pani pracy...

Ło matko! Taki wstęp wróżył kłopoty. Wyglądało na to, że właśnie próbuje zaserwować mi kanapkę. Kanapka korporacyjna polega na tym, że najpierw szef mówi coś miłego, prawdopodobnie, żeby osłabić czujność ofiary, a gdy to nastąpi, wyjeżdża z tym niemiłym. Dziesięć sekund później, zanim maltretowany dojdzie do siebie, dodaje się coś miłego na koniec. Typowa kanapka wygląda tak:

Jestem, jak pani wie, bardzo zadowolony z pani pracy. Chciałbym tylko, żeby zwróciła pani większą uwagę na szczegóły, gdyż klienci się skarżą. Napisali list protestacyjny do prezesa, list otwarty do Gazety Wyborczej oraz nakręcili reklamówkę mówiącą „precz”, która poszła tuż przed głównym wydaniem Faktów; ma też biliard kliknięć na jutubie. Uważają, że jest pani śmierzącym leniem, niekompetentnym, żałosnym indywiduum, który marnuje ich ciężko zarabiane pieniądze. Ja też jestem wściekły, więc ma pani dwa dni na poprawę, albo kula w łeb. A na koniec chciałbym dodać, że wierzę w pani intelekt, który, jak pani wie, zawsze sobie bardzo cenilem.

Jak usłyszałam zatem, że BATERFLAJ jest zadowolony z mojej dotychczasowej pracy, struchlałam. Usłyszałam tylko końcówkę:

– ...I chciałbym wobec tego, żeby pani pojechała na tę konferencję do Poznania.

Patrzyłam na niego doskonale tępo i w ogóle nie wiedziałam, co do mnie powiedział.

– Ale dlaczego? – zapytałam zatem, uznając że jest to w miarę bezpieczne pytanie.

BATERFLAJ westchnął głęboko.

– Pani Agato, czy pani mnie nie słuchała?

– Ależ oczywiście, że słuchałam – oburzyłam się. – Tylko nie do końca usłyszałam – wytłumaczyłam się godnie.

– Ah... no tak. To ja powtórzę. Bo chciałbym, żeby pani się rozwijała.

Co ja jestem, niedorozwinięta?

- Jak ten róży kwiat? – zapytałam wpatrując się w swoje paznokcie, koloru neutralnego.
- Jak rozmaryn – błysnęła szef. – Proszę wypełnić wniosek delegacyjny, wziąć zaliczkę i iść się pakować – machnęła na mnie ręką, wyganiając ze swojego kawałka ołpenspejsa.

Miałam więc jechać do Poznania. Nie wiedziałam co prawda, co to za konferencja jest, kto tam będzie i jak się tam rozwinę, ale pewnie muszę zabrać buty tylko z krytą piętą, żeby nie przynieść wstydu Firmie. Zadzwoiłam do mamy, czy mogę jej podrzucić mojego kota, gdyż wyjeżdżam w służbową delegację.

- Ty? – zdziwiła się moja mama.
- No co, że ja? – zaperzyłam się.
- No bo ty... przecież tam, tylko te tabelki... – zaplątała się moja rodzicielka, jasno dając mi do zrozumienia, jak bardzo ceni sobie moją karierę w Firmie.
- Ale właśnie docenili – mruknęłam zniesmaczona. – Bardziej niż ty.
- No co ty! Córciu, ja się cieszę, tylko tak jakoś... nagle! – Wiła się w tłumaczeniach matka. Nagle. No fakt. Po siedmiu latach. Ciekawe, co by powiedziała na inne równie dynamiczne zmiany w moim życiu.
- Dobra – odpuściłam jej. – Zajmiesz się Heniem?
- Tak, tak – skwapliwie się zgodziła, żeby zakończyć niewygodną rozmowę.

No i dobra. Teraz będę się muszę pakować, żeby godnie reprezentować Firmę. Wyciągnęłam z pawlacza walizkę, przetarłam ją ścierką, bo jakoś od wakacji kurz narósł i trochę się zadumałam. Co ja mam właściwie wziąć ze sobą? Zajrzałam do agendy, którą sobie wydrukowałam jeszcze w pracy: *Dzień pierwszy* – jakieś tam zajęcia do wieczora, potem kolacja, potem czas wolny. *Prosimy zabrać stroje kąpielowe oraz strój sportowy, gdyż jest możliwość skorzystania z basenu oraz innych udogodnień.* Rany boskie! Strój kąpielowy? Jaki strój kąpielowy? Miałabym się tak pokazać publicznie? Z odkrytą piętą? Nigdy w życiu. Jeszcze by mnie ktoś zobaczył. Nie byłam na basenie od dobrych sześciu lat. Od momentu, kiedy zorientowałam się, że niepostrzeżenie przytyłam jakieś 30 kg. Strój sportowy – to jeszcze... Luźne spodnie, luźna bluza maskująca... ale, ale, zaraz... Zastanowiłam się. A jak się spoczę? Człowiek ostatnio jakoś tak się męczy, jak po schodach wejdzie, to co? Mam tam sapać jak hipopotam? Czy hipopotamy sapią w ogóle? Może zieją? Na sto procent będzie tam cała masa młodych, a już na pewno młodszych

ode mnie dziewczyn, wszystkie będą też na sto procent chudsze. Skoro nawet w mojej Firmie wszystkie są chudsze... Na pewno jestem najgrubsza w całej branży. I będą o mnie opowiadać na wszystkich kolejnych firmowych zjazdach: *Pamiętacie tę grubą z Firmy? Jak się zasapała na rowerze stacjonarnym? Po pięciu minutach pedałowania dostała wylewu krwi do mózgu i już nigdy nie odzyskała przytomności. Leży teraz biedactwo w hospicjum, zbiórka pieniędzy niedawno była...*

Otarłam wierzchem dłoni łzę, spływającą po policzku. Chyba nie pojedę. Ale już po chwili przypomniałam sobie, że nie mam specjalnie wyboru, muszę jechać i koniec. Spojrzałam na agendę: *Dzień drugi* – zajęcia do czternastej, potem jedziemy na tor jakiś i tam do wieczora będziemy ćwiczyć rajdowe manewry *specjalnie przygotowanymi samochodami*. Czyli jakimi?! Wozami opancerzonymi? O Boże, niech to szlag trafi – zaczęłam się martwić. Ale, ale... znowu się zastanowiłam. Ej! Może to nawet niegłupie jest? Na twarzy kask, w środku auta się siedzi, nikt nie widzi, że się człowiek poci, czy coś, kondycja niepotrzebna... No, no, może i fajnie tak kręcić kierownicą. Taki Hołek długi jest, a do auta się mieści. No to ja, taka gruba, też się zmieszczę. Czytałam dalej: *Dzień trzeci* – zajęcia do 14.00 i powrót. No i dobra. Jadę. Tylko nadal nie wiedziałam, co mam ze sobą zabrać. Te moje garsonki robocze? Białe bluzki? Dżinsy może? Rzuciłam znowu okiem na agendę. O! *Strój casual*. No i co to niby znaczy? Że buty nie kryją pięty? Jezu, jak inni ludzie mogą sobie wyjeżdżać w delegacje kilka razy w miesiącu?! Ja mam jeszcze dwa dni do wyjazdu a już się umęczyłam.

Popatrzyłam w moją walizkę, która jednak nie chciała nawiązać ze mną kontaktu, otworzyłam szafę i ponownie popadłam w zadumę. W szafie wisiały sobie garsonki i bluzki w neutralnym kolorze i nie neutralnym rozmiarze 46 oraz 48. Leżały też dżinsy. Dwie pary. Jedne w rozmiarze 30 (ha, ha, nie ma takich rozmiarów) a drugie w rozmiarze XXL, bardzo gustowne, wyglądały jak mały namiot. Ale leżały idealnie. Dżinsy, dwa tiszerciki, a ten casual? Dobra. Zdecydowałam się na śmiały ruch rozdzielenia garsonki. Dżinsy plus marynarka. Ależ jestem dzielna. Spodnie od dresu? Nie biorę. (Hospicjum czeka!). Adidasy? Wezmę. Do tego wozu opancerzonego. No i dobra. Zapasowa bielizna, kosmetyczka, suszarka, książka. Kostium kąpielowy? Wyciągnęłam go z szuflady.

Cóż. Założyłam.

Cóż. Zdjęłam.

Nie biorę.

Do Poznania pojechałam jednak pociągiem. Niby jest już autostrada, ale jak mnie pouczyła moja przyjaciółka Alicja, zanim człowiek na nią wjedzie a potem zjedzie, marnuje tyle czasu, ile na niej zaoszczędził. A poza tym lubię jeździć pociągiem. Mogę wtedy sobie spokojnie poczytać. No chyba, że mam w przedziale jakiegoś cholernego pracoholika. Tak jak ten wczoraj. Weszłam do przedziału, ciągnąc za sobą walizkę i z westchnieniem już zabierałam się za dyscyplinę rwanie walizki z podrzutem, kiedy gadający przez telefon facet dał mi zrozumienia gestem ręki, że mi pomoże. Samarytanin znaczy, bo zwykle faceci jakoś nie zrywali się do pomocy. Nie robiłam (o dziwo) piorunującego wrażenia. Zwykle musiałam głośno wyartykułować prośbę o pomoc, bo symulowali zaczytanie, zasłuchanie albo drzemkę. Młody wilk w garniturze jedną ręką trzymał komórkę, drugą bez najmniejszego wysiłku podniósł moją walizkę i wsadził ją na półkę nie przerywając rozmowy. Patrzyłam na niego w niemym podziwieniu, a mój wzrok musiał naprawdę dużo mówić, bo koleś nadal nie przerywając rozmowy uśmiechnął się miło. Uśmiech jego mówił: *A takie tam, nic takiego*. Mój wzrok za to miał powiedzieć: *O rany, koleś! Łapę to ty musisz mieć jak stalowa lina, jak korzeń dębu, jak lewar podnośnika...* Nie wiem, czy odczytał wszystko prawidłowo, bo wyszedł z przedziału i dalej gadał. Jakie teraz produkują te telefony, że bateria mu nie padła przez całe cztery godziny? Stał na korytarzu pierwszej klasy (nie wiem po co, bo mógł zapłacić nawet za klasę czwartą, albo i wagon towarowy, skoro nie usiadł nawet na chwilę), odwrócony tyłem do naszego przedziału nadawał i odbierał na przemian. I tak, gdyby odłożył na chwilę ten cholerny telefon mogłabym mu powiedzieć jaki jest cudny, jakie wrażenie zrobił na mnie wrzucając tę walizkę i może potem wzięlibyśmy ślub w pałacyku w Jabłonnie i ja urodziłabym mu sześcioro dzieci... A tak to niestety dojechaliśmy do Poznania, koleś nadal nie przerywając rozmowy sięgnął po moją walizkę, postawił ją na podłodze, kiwnął do mnie głową i zniknął z pociągu i mojego życia. Westchnęłam głęboko, wytarabaniłam się na front dworca, który jest jednocześnie postojem taksówek i pojechałam do hotelu.

Nie bardzo lubię wchodzić na salę pełną ludzi, których w ogóle nie znam. Nie dlatego, że wszyscy od razu obrzucają mnie pełnymi uznania spojrzeniami i nie mogę spokojnie przejść środkiem sali, żeby nie zaczęli mi rzucać kwiatów po nogi. Raczej dlatego, że zwykle taka sala jest pełna młodszych i chudszych ode mnie dziewczyn oraz facetów, którzy nie zwracają na mnie żadnej uwagi i czasem muszę siedem razy

powtórzyć swoje *przepraszam*, żeby się dostać do pustego krzesła na środku sali. Poza tym nigdy nie wiem, co robić, zanim się rozpoczną te cholerne wykłady. Co zrobić z oczami? Z rękami? Z nogami? Obciąć, czy co? Zakładam nogę na nogę, splatam dłonie, rozplatom, sięgam po telefon, czterdziesty raz sprawdzam wyświetlacz, na którym zwykle niestety nic nie ma, szukam w torebce gumy do żucia i dyskretnie rozglądam się dookoła. No naprawdę, smutne jest życie samotnego człowieka. Całe szczęście, że zanim dostałam egzemy od tego ciągłego splatania i rozplatania rąk wypatrzyłam znajomą.

– Hej Marta! – zawołałam z entuzjazmem, który nieco przygasł, kiedy Marta wstała. Wyglądała absolutnie obłądnie.

– Cześć Agata – ucieszyła się szczerze Marta. – Przyjechałaś na tę konferencję? Super, poznaj, to moi znajomi z pracy – odwróciła się żeby mi pokazać jakiś ludzi. Natychmiast poczułam irracjonalną nadzieję, że to może znajomy z pociągu, ale oczywiście takie rzeczy to tylko dzieją się w serialach. Poznałam jakiegoś Krzyśka, jakąś Magdę, albo Marię, nie pamiętam już, Amandę (o rany!) i z pięć innych osób, których imiona wypadły mi z głowy zanim skończyłam im ścisnąć ręce.

Po wykładach, na których z pięć razy pogratulowałam sobie silnej woli, że żadnych kostiumów i dresów nie wzięłam, udaliśmy się do baru. Bar... miejsce, gdzie świat zaczął wyglądać na kolorowy, przyjazny i pełen otwartych, przemiłych ludzi. Około godziny 23 ci przemili ludzie doszli do wniosku, że idziemy na basen. Poderwałam się ochoczo, ale w głowie tłukło mi się niejasno, że coś tam z tym basenem było nie tak, co to ja chciałam tam robić...? Nie mogłam sobie nijak przypomnieć. Na basen szczęśliwie nie chcieli nas wpuścić.

– Czy państwo pili alkohol? – zapytał grzecznie ratownik.

– No jasne, gościu – zdenerwował się Krzysiek. – Przecież inaczej chyba byśmy tu nie przyszli?

– To przykro mi, ale państwa wpuścić nie mogę.

– Ale jak to?– teraz ja się zdenerwowałam. – Przecież nie ma takich przepisów!

Ratownik popatrzył na mnie przeciągle i bardzo uprzejmie i stanowczo poinformował nas, że owszem takie przepisy są, istnieją, obowiązują i są przestrzegane. Zaprosił nas jutro. Może być nawet o szóstej rano. Wyszliśmy obrażeni.

– O szóstej rano, to niech on sobie pływa sam – powiedział ktoś w tłumie. – Albo z wielką dmuchaną kaczką. Baran.

Wróciliśmy do baru, albo może najpierw zahaczyliśmy o czyjś pokój, bo chyba oglądaliśmy jakiś film, no w każdym razie nie pamiętałam zbyt dokładnie... Rano koty tupały, klimatyzacja strasznie huczała, mało soku było na śniadanie i żyłam nadzieją, że na obiad będzie kwaśna zupa.

Drugiego dnia wieczorem, zanim udaliśmy się do baru mieliśmy zaliczyć wycieczkę na tym sławetnym torze wyścigowym. Jak to się stało, to ja sama nie wiem, ale jak zobaczyłam te rajdowe auta, to jakoś tak poczułam, że benzyna mi w żyłach płynie i nabrałam niebywalej ochoty na przejażdżkę. Wpakowali mnie do subaru, takiego niebieskiego w złote gwiazdy. Wpadłam w fotel, który kształtem przypominał kubeł na śmieci, a potem zapięli mi pasy. Chyba w pięciu miejscach miałam te szelki, na głowę kazali założyć hełm i... aż ciarki mnie przeszły, kiedy włączyłam guzikiem motor. Kurnia! Jak on gadał! Głęboki dźwięk, przypominający pomruk tygrysa. Delikatnie dotknęłam kierownicy, poczułam leciutkie drżenie. Sama zadrżałam.

– I co, podoba się? – usłyszałam nagle w słuchawkach. To ja w ogóle miałam słuchawki?

– O tak – szepnęłam nabożnie. Wysłuchałam co tam ten mój pilot miał do powiedzenia i wrzuciłam pierwszy bieg... O matko święta! Jak to auto zachrzaniało... Po prostu coś absolutnie odlotowego. Po kilku minutach jazdy kazali mi podjechać do takiej strefy, gdzie można spokojnie wysiąść i... nagle poczułam, że nie jestem w stanie się ruszyć. Adrenalina, ekscytacja i prędkość wepchnęły mnie w fotel tak głęboko, że po odpięciu pasów czułam się jak przyspawana.

– No, wysiadamy – popędził mnie instruktor.

Zebrałam wszystkie siły. Na nic. Zdjęłam kask i popatrzyłam na niego z przepaszającym uśmiechem.

– No, właśnie, kiedy się nie da.

– Jak się nie da? – nie zrozumiał.

– No, nie mogę się wydostać – szepnęłam.

Instruktor wysiadł, podszedł do moich drzwi i podsunął mi ramię. Przełknęłam ślinę i spróbowałam się podciągnąć na jego ramieniu. Niestety mój tyłek zaklinował się na amen. Kubełkowe siedzenie, przystosowane do chudych, męskich duppek zassało mnie do podwozia. Przełknęłam ponownie ślinę i spojrzałam na niego sarnim wzrokiem. Podjęliśmy kolejną, zakończoną niepowodzeniem próbę. No i niestety. Zawołał kolegę. Rany boskie, zasadził dziadek rzepkę w ogrodzie... We dwóch, przeszkadzali sobie

wzajemnie, w końcu jeden obszedł auto, wszedł od strony pasażera, zaparł się nogami i... wypchnął plecami szybę, pociągnąwszy mnie za sobą. Wypadliśmy z Subaru jak z procy. W zasadzie nie pozostało mi już nic innego jak położyć się na tym torze i zażądać, żeby mnie natychmiast przejechali na śmierć. Zanim udało mi się zebrać z asfaltu, przeżyłam chwilę kosmicznego upokorzenia, zwłaszcza, kiedy słyszałam urywany, maskowany śmiech, który rozbrzmiewał dookoła. Już widziałam gazetową notkę:

The DAILY NEWS

SENSACJA NA POZNAŃSKIM TRZE GOKARDOWYM

Wczoraj na torze w Poznaniu doszło do niebywałego wypadku dewastacji mienia znanego rajdowca Tomasza K. Potwornie gruba Agata H. zaklinowała się szerokim dupskiem w wąziutkim fotelu rajdowym i już przemyśliwano nad wezwaniem straży pożarnej, która uwolniłaby zaklinowaną,

kiedy to z nadludzkim wysiłkiem zmasowanych sił udało się katapultować Agatę H. przez przednią szybę auta. Doszło przy tym do licznych uszkodzeń ciała i otarć Tomasza K. na którego z impetem spadła rzeczona Agata H. Poszkodowanego odwieziono do szpitala, zespół reanimacyjny walczy o jego życie.

Mało było whiskey w barze tego wieczoru... a następnego dnia wróciłam do Warszawy, gdzie chciałam się zakopać w liściach na najbliższe sześć miesięcy – na początek. Po powrocie do domu rozebrałam się do naga, stanęłam przed lustrem i pasłam oczy widokiem. Moje poślądki przypominały spadochron (już po lądowaniu). Posunęłam się nawet do tego, że sięgnęłam po aparat i przeprowadziłam sprawną dokumentację obecnego stanu rzeczy. Nie chciałam oglądać tych zdjęć. Chciałam je mieć. Powoli budziło się we mnie uczucie, którego do tej pory z bliska nie poznałam. Determinacja.

Następnego dnia BATERFLAJ był bardzo zadowolony, że wzięłam udział w tak ważnej konferencji, kazał mi z niej napisać raport, a we wnioskach umieścić informacje, jak konferencja wpłynie na jakość mojej pracy. No wiadomo. Bezwzględnie wpłynie. Napisałam, zaniósłam, chciałam zapomnieć, ale nie bardzo mi się udawało. W piątek BATERFLAJ poprosił, żebym do niego przyszła ponownie.

Udzielę wam kolejnej lekcji korporacyjnej rzeczywistości – nigdy, ale to nigdy z takich próśb szefa nie wynika nic dobrego. Albo dawała ci roboty, albo z niej wywała, w gruncie rzeczy niewielka różnica.

– Jak pani wie, jestem bardzo zadowolony z pani pracy – Baterflaj jak zwykle zaczął od nieśmiertelnych słów. – Bardzo ostrożnie kiwnęłam głową.

– Jest pani mocnym ogniwem naszego zespołu (no, tym razem się bardzo nie wysilił), a w związku z faktem, że Firma ma w stosunku do pani długoterminowe plany – westchnęłam mimo woli – chciałbym zaproponować, żeby zajęła się pani nieco innym profilem naszej działalności.

No jasne! Wiedziałam, wiedziałam że coś się święci! Zdegradują mnie. Będę parzyć kawę i bindować dokumenty!

– Chciałbym, żeby objęła pani stanowisko szefa działu kontroli wewnętrznej.

– Że co? – zadałam sobie w myślach pytanie.

– To jest ogromnie ważne stanowisko dla Firmy.

Wyłączyłam się na chwilę, bo na pamięć znałam to bla, bla, bla... konkrety mnie interesowały.

– Trochę będzie musiała pani jeździć po Polsce, dostanie pani oczywiście auto służbowe, będzie pani razem z nowym radcą prawnym robiła również audyty wewnętrzne w naszych placówkach, będzie pani się spotykała z klientami, żeby poznać ich ocenę naszej działalności.

Och kurnia! Zgadzam się!!!! Zgadzam!!!

– Zgadza się pani?

– Ekchm, ekchm, cóż, zaskoczył mnie pan nieco – powiedziałam ostrożnie.

– Tych podróży nie będzie tak dużo, raz w tygodniu, auto damy pani dobre, odpowiednie do poziomu menadżerskiego. Ja wiem, że się musi pani zastanowić, ale to szansa dla pani, bla bla bla...

Ale fajnie! Koniec siedzenia za biurkiem. Koniec wklepywania cyferek. Auto służbowe! Klienci, budżet reprezentacyjny, lunczyki, wyjażdżiki, hoteliki... – rozpędziłam się.

– W poniedziałek chciałabym usłyszeć pani odpowiedź – zakończył tyradę Baterflaj.

Skinęłam poważnie głową i dusząc w sobie chęć wyjścia z jego pokoju w podskokach, poszłam do siebie. Oczywiście już się dużo nie napracowałam, poleciałam na skrzydłach do domu, wyliczając w myślach: kosmetyczka, szpilki, no bo jak z tymi klientami mam się spotykać bez szpilek? Takie niebieskie widziałam w Venezii, ale uznałam, że gdzie ja

w nich będę chodzić... no, to już teraz wiem. Torebka nowa, taka czarna, co ją widziałam w Peeku, walizkę muszę kupić i nową kosmetyczkę, pewnie będę w jednym pokoju z tą naszą radczynią prawną mieszkać, to jeszcze pidżamę chyba? Zanim zdążyłam zmienić całą garderobę na wypadek zamieszkania w pokoju hotelowym z obcą babą – dojechałam do domu. Henio nie wyraził głośno swojego entuzjazmu, cicho zresztą też nie. Spał i nie zajął stanowiska. Ale ja wiedziałam, że jak tylko zacznę wyjeżdżać – wtedy on nie omieszka zająć, w sposób absolutnie jednoznaczny. Zadzwoiłam do Alicji, która oczywiście natychmiast się zgodziła, że ma najmądrzejszą na świecie przyjaciółkę, w której tłą się prometejskim ogniem nieprzeciętne talenty. Tego było mi trzeba.

* * *

W poniedziałek jechałam do pracy podekscytowana jak rzadko. Do dziesiątej kręciłam się na krześle, mało nie wywierciłam kolejnej dziury w wykładzinie. Wreszcie Bateria poprosił mnie do siebie.

– Jak minął weekend? – zaczął standardowo i wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

– Dziękuję, bardzo aktywnie...

– Miała pani czas na przemyślenia?

Co ja, Sokrates jestem? A nad czym tu myśleć?

– Tak, chciałam bardzo podziękować za szansę, jaką pan przede mną postawił i postaram się nie zawieść pana oczekiwań – wyklepałam poprawną odpowiedź.

Bateria się rozjaśnił, wyciągnął do mnie rękę i powitał na pokładzie pierwszej klasy. W następnej chwili podniósł słuchawkę, wystukał numer wewnętrzny i poprosił kogoś o przyjęcie do jego gabinetu. Za chwilę usłyszałam puknięcie w drzwi i... Ło matko! W drzwiach stanął mój pracoholik z poznańskiego pociągu. Musiałam mieć dziwną minę, bo Bateria trochę się spłoszył.

– Pani Agato, to jest pan Marcin Starczyński, nasz nowy radca prawny, z którym będzie pani blisko współpracować.

Następnie rozległ się grzmot, trzask, strzelił we mnie piorun i spaliłam się w popiół i diament. Marcin podszedł do mnie z wyciągniętą ręką, podałam mu swoją i chyba coś tam mruknęłam. Na pewno wyszło bardzo profesjonalnie. Oczywiście mnie nie poznał.

Bateria poinformował nas, że zaczynamy od pierwszego, kiedy Marcin skończy szkolenie wewnętrzne, a ja skończę jakieś tam rozpoczęte projekty (to ja mam jakieś

projekty?). Od przyszłej środy zaczynamy wspólne szkolenie audytowe, mamy jechać do Jachranki na kilka dni i tam się wszystkiego dowiemy. Nasze samochody przyjadą w środę, dwie takie same srebrne laguny. W Jachrance mamy się zaprzyjaźnić i lepiej poznać, bo będziemy bardzo dużo pracować i spędzać sporo czasu w drodze. Dostajemy też jakieś tam pakiety do SPA, żebyśmy mogli się zrelaksować po wielu godzinach nauki. Słuchałam i nie rozumiałam do końca, co oni do mnie mówią. Właśnie dali mi super brykę, przedstawili mi gościa, z którym mam BARDZO blisko pracować, a który wygląda jak Matthew McConaughey, fundują mi z nim pobyt w hotelu i SPA, kurnia! Gdzie jest haczyk? Matthew, tfu! Marcin uśmiechnął się do mnie i pomyślałam sobie, że on biedak nie ma tak dobrze. Może i fura fajna, może i hotel ok. Ale ta panna, co ją dodali gratis... Bieda z nędzą. No, chociaż może nie. Powiedzmy sobie szczerze, bieda z nędzą nie ważyłaby 80 kg (a nawet lekko ponad).

No i ło matko! Jak ja się rozbiore przy nim w tym SPA??? Uśmiechnęłam się do niego niezbyt szczerze, a w duchu westchnęłam. Zaraz potem przyszła mi szalona i niezwykle śmiała myśl. A gdyby tak schudnąć? Niiieee, no bez przesady. Pomysł był porażający. Porażona pomaszero wałam do swojego komputera. Mam dwa tygodnie, żeby schudnąć. Mało coś...

Zamiast zająć się wklepywaniem danych do tabel, zajrzałam do Internetu na stronkę o obiecującej nazwie odchudzanie.pl. Czego ja się tam dowiedziałam... W żadnym wypadku nie mogę jeść węglowodanów, że jednak mogę jeść węglowodany, aby tylko nie z białkiem. Mogę jeść same warzywa, nie mogę jeść żadnych tłuszczów, mogę jeść tylko tłuszcze, mogę jeść w zasadzie wszystko, tylko mniej. Nie mogę jeść nic, tylko robić głodówkę. W żadnym wypadku nie robić głodówki, pić tylko dużo zielonej herbaty. Nie pić zielonej herbaty a czerwoną, jeść tabletki, pić samą wodę, pić same soki, pić tylko sok pomidorowy. Nie pomogło mi to za bardzo. Wreszcie znalazłam coś, co było niezłe. Plaże południowe, czy jakoś tak. Można jeść dużo, nie można jeść jedynie czegoś tam konkretnie, co powoduje że wzrasta indeks glikemiczny. Nie wiem, kto to jest ten indeks, ale po co mi ta wiedza... Pierwszy z trzech etapów trwa dwa tygodnie, można schudnąć sześć kilo. No i gitara, biorę. Zaczynam od jutra.

* * *

Pierwsze dni nawet nie były takie złe. Oczywiście jeść mi się ciągle chciało, ale że można wtedy jeść do wypęku, byle nie to, co zakazane – dałam radę. Postanowiłam, że

zważę się po tygodniu, czyli tuż przed wyjazdem do Jachranki. Oczywiście byłam zajęta kosmicznie przez ten tydzień, no bo jak inaczej? Manikiur, pedikiur (bo pięty!), henna, bikini i tak dalej. A jeszcze przecież musiałam pracować. Ta praca to najbardziej mi przeszkadzała, ale nie mogłam niestety z niej zrezygnować. Wreszcie we wtorek spakowałam swoje rzeczy, a sama rozebrałam i ze wstrzymanym oddechem weszłam na wagę. O kurnia! Trzy kilo mniej. Zwycięstwo! No to teraz się nie poddam. Pierwsze śliwki robaczywki i koty za płoty.

Do Jachranki przyjechałam swoją nową srebrną Niunią, którą pokochałam oczywiście miłością czystą jak łąca. Marcin już był. Zaparkowałam obok jego auta, poszłam się zameldować i zanieść walizkę. Mieliśmy pokoje na tym samym piętrze. O dziewiątej zeszłam do baru, gdzie przywitałam się ze wszystkimi, którzy mieli zadbać o naszą audytową edukację. A później już nie było tak fajnie, musieliśmy się skupić na zadaniach i na szukaniu rozwiązań. Wyglądało na to, że będziemy z Marcinem tworzyć zgrany duet. O siedemnastej powoli mój intensywnie tresowany mózg zaczął dopominać się przerwy, jego życzenie stało się dla mnie rozkazem i po chwili leżałam rozebrana w ramionach... Wróć! Leżałam rozebrana na łóżku do masażu. Po godzinie takiego relaksu zapomniałam jak się nazywam i odpłynęłam w lekki niebyt, z którego wyrwał mnie dźwięk telefonu. Marcin.

– Strasznie się rozleniwiłem po tym masażu, ty też?

– No niestety. Trzeba zmobilizować siły.

– To może pójdziemy na basen co? Potem sauna i dzakuzi?

Basen? Sauna? Rozbieranie?

– No... – zaczęłam ostrożnie.

– Nie ma żadnego „no”. Przyjdę po ciebie za dziesięć minut.

No w ciągu dziesięciu minut to ja nie schudnę...

Nerwowo przejrzałam się w lustrze. No nie najlepiej. Ale jak się owinę ręcznikiem, nie będzie widać za bardzo. Raz kozie śmierć. Na ten wyjazd wybrałam taki kostium, który litościwie zakrywał możliwie najwięcej. Wzięłam okulary, czepek i głęboko westchnęłam. W tym momencie zapukał Marcin. Poszliśmy na dół i mało nie dostałam zawału serca, kiedy okazało się, że szatnia jest koedukacyjna. Całe szczęście, że po chwili zauważyłam też kabiny do przebrania, bo chyba tak bym stała do zamknięcia. W szatni nie było modelek, które by się niedbale przebierały z dwuczęściowego

kostiumu rozmiaru 34 w dzinsy rozmiaru 28, co odnotowałam nie bez satysfakcji. W ogóle w szatni było mało osób. Ze trzy. Na basenie też nie było tłoku, co od razu mi podniosło morale. Kombinowałam, jak by to jednym szybkim ruchem Zorro odrzucić ręcznik i wskoczyć do basenu i właśnie obliczałam kąat natarcia, kiedy Marcin wskoczył na główkę i popłynął równym kraulem. Walnęłam zatem szybko ręcznik byle gdzie i wskoczyłam za nim. Popłynęłam podobnym, równym kraulem do końca basenu, ale kiedy się wynurzyłam, myślałam, że wypluję płuca.

– Świetnie pływasz – wydyszał Marcin, który wydawał się tak samo umordowany.

– Ty też. Ale kondycja jakaś krótka, co? – mało się nie zatchnęłam.

– Strasznie się zapuściłem kondycyjnie. Chyba trzeba będzie to nadrobić. – Stwierdził i puścił do mnie oko.

Popływaliśmy z pół godziny w głównym basenie, potem poszliśmy do sauny, dzakuzi, na gorące kamienie... Miałam okazję obejrzeć sobie Marcina w samych kąpielówkach. Nooooo, było na co popatrzeć, nie da się ukryć, chociaż próbowałam to patrzenie ukryć ze wszystkich sił. Zanim się wysuszyliśmy, zrobiła się godzina dwudziesta druga.

– To co? Małego drinka? – zaproponował Marcin.

– Drinka nie mogę, ale napiję się wody. Jak zwierzę! – Zarżałam radośnie.

– A co? Religia nie pozwala?

– Pozwala, ale taką dietę mam, jeszcze tydzień zero alkoholu. – Wyznałam ze ściśniętym gardłem.

Marcin spojrział na mnie uważnie i powiedział coś, co mnie kompletnie zaskoczyło.

– Podziwiam cię. Musisz mieć chyba silną wolę? Ja też nie będę pił w takim razie.

– Silną wolę? – pomyślałam. – Ja mam na pewno słabiutką silną wolę. Jakbym miała silną, to nie ważyłabym 80 kilo! A nawet lekko ponad.

Poszliśmy zatem do baru. Na wodę.

– Zaszalejemy. Dwie wody z cytryną poprosimy – zamówił Marcin. – Bez gazu?

– Bez – zgodziłam się.

– No to teraz opowiedz mi coś o sobie – zaproponował Marcin, sadowiąc się na skórzanej kanapie w kącie baru.

– Ale co byś chciał usłyszeć? – zaśmiałam się – Mam dwadzieścia dziewięć lat, jestem alkoholiczką?

– Nie, nie, no powiedz co najbardziej lubisz robić.

Zastanowiłam się. Co ja najbardziej lubię robić?

- No...
- No? – popędził mnie Marcin
- No, lubię dużo rzeczy – zaczęłam banalnie. – Lubię grać w siatkówkę. Lubię też podróżować. Lubię czytać. Lubię jeździć na motorze.
- Grasz gdzieś? W siatkówkę?
- No, ostatnio jakoś nie...
- A gdzie ostatnio byłeś w podróży?
- No, w Paryżu byłam.
- Dawno?
- Dwa... nie, trzy lata temu.
- A co czytasz teraz?
- A co to, kurnia? Przesłuchanie? – zdenerwowałam się.
- Nie, no co ty, jakie przesłuchanie, pytam tylko. Masz motor?
- Ja? Motor?
- No mówiłaś, że lubisz jeździć na motorze.
- No tak, ale... ale co ty co lubisz najbardziej robić? – zwęksłowałam rozmowę na jego temat, bo coś nie bardzo mi szło.
- Żagle lubię. I narty. Sport generalnie, taki typowy jestem – machnął ręką lekceważąco.
- O? – zdziwiłam się inteligentnie – Mężczyzna, który lubi sport? – Ewenement na skalę światową.
- Nie używaj słów, których znaczenia nie rozumiesz – mrugnął do mnie
- Phy! – prychnęłam oburzona. Skala – to po łacinie *szczebel*. Przygotowałam się. Bawiliśmy się do północy i potem grzecznie poszliśmy spać.

Następnego dnia nic mi nie tupało, wstałam podejrzenie dziwnie wyspana i pełna energii. Spojrzałam w lustro. Napięcie spadło i nawet żarówka zadrgała z wrażenia. Ruszyłam z codziennym remontem elewacji frontowej. Po kolei: podkład, zaprawa, szpachlowanie, tynkowanie, tapetowanie, malowanie detali. Niestety efekt końcowy osiągnęłam mizerny – pomimo pracy wyzyskiwanych pracowników wielkich korporacji kosmetycznych i cierpień całych pokoleń zwierząt laboratoryjnych oraz dziury ozonowej spowodowanej używaniem dezodorantu w atomizerze. Marcina spotkałam na schodach. Ciekawe, że faceci nie używają tych farb maskujących a wyglądają ciekawie i kusząco. Ja kusząco wyglądałam jakieś dwadzieścia kilo temu i tylko przy świetle świec.

W sztucznym świetle jarzeniówki nawet hoża dziewczyna, ubijając ręcznie masło wygląda jakby ją przed chwilą ekshumowali.

– Cześć dziewczyno – rozjaśnił się na mój widok Marcin, co odnotowałam z niejakim zdziwieniem.

– Ano, cześć chłopaku – mruknęłam.

– Bardzo mi się podobał ten wczorajszy wieczór. – Zaczął Marcin, a ja tylko zmarszczyłam nieco brwi, bo czekałam oczywiście na „ale”.

– Ale... – zaczęłam za niego.

– Co ale? – zdziwił się.

– No, ale... Ale co? Bardzo podobał mi się ten wczorajszy wieczór, ale... – pokazałam ręką ruch kontynuacji.

– Ale, nie ma żadnego „ale” właśnie. Podobał mi się i już. Dużo sportu, relaksik, zero alkoholu i fajna babka. Dobrze trafiłem z robotą – uśmiechnął się szeroko.

Podejrzliwie spojrzałam na niego spod oka. Ciekawe, o co mu chodzi?

– Też muszę się wziąć za siebie – westchnął. O, już ja doskonale usłyszałam to okrutne słówko „też”.

– Ułożę sobie trening i dietę z moim trenerem w tym klubie, co w nim przerzucam żelastwo – oświecił mnie.

– Aaaa – kiwnęłam głową.

– Będę cię pilnować, a ty mnie na tych wszystkich wyjazdach – ucieszył się Marcin.

Jasne. Tylko mi, kurnia, potrzeba, żeby mnie ten macho pilnował. Przy nim nie zjem więcej niż siedem ziarenek i umrę z powodu anoreksji – pomyślałam. – No, chociaż z drugiej strony, umówmy się, że może trochę zbyt pośpieszne te obawy.

Tymczasem zgodnie z założeniami mojej diety na śniadanie wypłam szklankę wody, a potem jeszcze jedną, bo nie mogłam się otrząsnąć z szoku. Zamówiłam sobie jajka sadzone i zapchałam się ogórkiem. Ciężko zapowiadały się następne tygodnie – przewidywałam w myślach. Z tej zadumy wyrwał mnie głos Marcina, który coś tam wesoło tokował, wpychając w siebie górę twarożku ze szczypiorkiem.

– Rzodkiewkę tam masz – machnęłam w kierunku stołu.

Marcin skrzywił się.

– Nie lubię rzodkiewki – zdradził mi w tajemnicy.

Jezu. Nie znałam nikogo, kto nie lubił rzodkiewki. Ten facet naprawdę był oryginałem. I jak cudownie jadł twarożek!

Cały dzień zszedł nam na kolejnych tresurach. Koło siedemnastej reagowałam już ślinieniem się na zapalenie światła, ale przyswoiliśmy materiał i otrzymaliśmy zwolnienie warunkowe. Poleciałam do pokoju, bo w przerwie na lunczyk ustaliliśmy, że tym razem zmieniamy kolejność i zaczynamy od basenu, potem siłownia, a dopiero na końcu te wszystkie tam przyjemności z dotykiem, miętoszeniem i głaskaniem. Niestety wbrew moim nadziejom chodziło jedynie o masaż. Nie spodziewałam się, że lanie wrzącym olejem, walenie pięściami i okładanie kamieniami może być relaksujące. Ale było. Potem poszliśmy do baru, wypiliśmy co najmniej trzy litry czystej wody, okraszonej bogato cytryną i na lekko drżących nogach wróciliśmy do pokoi. Drżenie nóg nie było spowodowane niestety miłosnym porażeniem, lecz forsownymi ćwiczeniami. Niewykluczone, że nieco przesadziliśmy dopingując się nawzajem do zwiększonego wysiłku.

Poranek potwierdził to niestety w całej rozciągłości, szerokości i długości moich nóg, tyłka i brzucha. Na schodach zobaczyłam jak Marcin schodzi z półpiętra, bardzo wolniutko stawiając kroki i trzymając się ściany. Omal nie parsknęłam śmiechem, ale zranione męskie ego nigdy by mi tego nie wybaczyło, więc zagadałam przyjaźnie:

- Ty, chłopaku, nie leć tak, bo mnie dzisiaj nogi nie chcą słuchać..
 - O Jezu! - Jęknął Marcin, ale natychmiast się wyprostował. - Tośmy zaszaleli - parsknął.
 - Zunia mi nie uwierzy, że to od ćwiczeń.
 - Kto to jest Zunia? - nim zdążyłam się powstrzymać, pytanie już osiągnęło pierwszą prędkość kosmiczną i wydostało się na zewnątrz.
 - Moja narzeczona - oświadczył Marcin.
- Ano i koniec nastał na samym początku. Amen. Zamknęłam i otworzyłam oczy.
- Zunia? Skrót od czego? - rzuciłam lekko. Może od kozunia?
 - Iza. Izabela, znaczy.
 - Fajnie - na większy entuzjazm nie było mnie na razie stać. - To co, druga część *Ogniem i Mieczem* i do domu?
 - Wolałbym drugą część *Dezertów* - mruknął Marcin.
 - Przykro mi - uśmiechnęłam się. - Walniesz *Matrix reaktywację* i dasz radę.
 - *Mission impossible*. - Westchnął i bardzo wolniutko oddaliliśmy się wreszcie ze schodów w kierunku szwedzkiego stołu.